

To nie idzie młodość

23 stycznia 2024



O spektaklu „Czekając na Godota” Samuela Becketta w reż. Piotra Cieplaka w Teatrze Narodowym w Warszawie pisze Tomasz Flasiński.

„Czekając na Godota” w Teatrze Narodowym zbiera recenzje dwójki: bardzo dobre i znakomite. A mnie dopadły wątpliwości. Uściślijmy: w żadnym razie nie twierdzę, że spektakl jest zły, to by był gruby a bezzasadny afront wobec reżysera Piotra Cieplaka i świetnej obsady. Problem zdaje mi się głębszy.

Inaczej niż w niektórych innych spektaklach, Cieplak postawił na minimalizm, który się tu świetnie sprawdza – w połączeniu z małą przestrzenią Sceny Studio pozwala na śledzenie każdego gestu aktorów. Jak to ważne, można ocenić porównując spektakl z beckettowskim oryginałem, co szczególnie dobrze widać w kreacjach Pozza (Cezary Kosiński) i Lucky’ego (Bartłomiej Bobrowski).

W przypadku głównych ról sprawy mają się odmiennie. Jerzy Radziwiłowicz jako Vladimir i Mariusz Benoit kreujący Estragona tworzą świetny, zgrany duet. Są podobni do siebie, nie tylko z racji wieku (73 lata), ale i sposobu grania. To aktorstwo, by tak rzec, dawnego typu: pełne szlachetnej prostoty i stonowane, ktoś mógłby wręcz rzec, że hieratyczne. Oczywiście, ma to uzasadnienie: mówimy o ludziach sędziwych, będących przy tym (zwłaszcza Estragon) scenicznymi kuzynami bezdomnych sprzed Biedronki, dla których już samo podniesienie się z kartonu jest wyzwaniem. Radziwiłowicz i Benoit wyśmienicie odgrywają wpisane w beckettowski tekst napięcia – spory dwójki starców, którzy żyć bez siebie nie mogą, ale i bez kłótni także, którzy trzymają się nadziei, bo inaczej nuda oraz proza życia by ich zabiły, których nędzna egzystencja przygniotła na tyle, że byle co wytrąca ich z równowagi (świetna scena kłótni o stare-nowe buty). Ale rozgrywa się to wszystko głównie w sferze słów. Ciało odgrywa w tym drugorzędą rolę. Chyba nie tylko dlatego, że zgodnie z tekstem jest skrajnie złachane.

A z drugiej strony – Pozzo Cezarego Kosińskiego, który przyćmiewa wszystkich od pierwszej chwili. Rozbawiła mnie recenzentka Nowej Siły Krytycznej, która Kosińskiego – pana po pięćdziesiątce – zaliczyła do „młodych aktorów”, sama zresztą nie mając ani połowy jego lat; a jednak rozumiem, skąd się to mogło wziąć. Kosiński wygląda i porusza się, jakby miał tych lat trzydzieści pięć, może czterdzieści. To aktorskie gradobicie, tu nie tylko słowa rwą jak potok, ale i ciało jest przedłużeniem słowa, każdy gest ręki i skręt szyi ma uzasadnienie i sceniczny sens.

Ani Kosińskiego (ur. 1973), ani Bobrowskiego (1976) młodymi aktorami bym nie nazwał – ale źle zorientowana autorka tamtej recenzji dotknęła czegoś bardzo istotnego. Kosiński, dawny Myszkini Jarzyny, i Bobrowski, który równolegle z angażem w Narodowym przecierał się w zawodzie w offowych spektaklach Igora Gorzkowskiego, reprezentują już inny styl grania niż Benoit z Radziwiłowiczem. „Nowe” aktorstwo starło się frontalnie ze „starym” i wyszło zwycięstwo z tej bitwy – przykuwając uwagę widzów tak, jak tego nie dokazali główni protagoniści. Czy tak zarysowany konflikt sceniczny był świadomym zamysłem Cieplaka? Nie zajrzę mu do głowy, ale znając błyskotliwą inteligencję reżysera – nie zdziwiłbym się.

Nie zajrzę mu do głowy, a przydałoby się. Może tam znalazłbym wyjaśnienie Cieplakowej deklaracji z przedpremierowego wywiadu, że zachowanie Vladimira i Estragona świadczy o dzielności, bo nie wieszają się, nie odchodzą, lecz mają odwagę czekać. Beckett to Beckett, interpretować go można różnie (bardzo ładny kolaż dotychczasowych opinii znajdziemy w programie spektaklu), ale żeby aż tak? Nie kryję przekonania, że jest zupełnie odwrotnie, że dwaj zagubieni mający tylko siebie nawzajem czekają, bo nie mają odwagi przyznać, iż inaczej nic nie miałyby sensu. Deformuje się pamięć, ludzkie sylwetki przewijają się przed oczyma jak w kalejdoskopie i nie wiadomo, czy w tym samym ciele skrywa się ten sam człowiek, drzewo między wieczorem a porankiem zniecka okrywa się liśćmi, świat wyrывa się z kolein logiki. Co jest na pewno? Nuda, beznadziejna nuda i bezsens egzystencji, dwóch ludzi, którzy nie mieliby już ani kęsa życia, gdyby nie czekali na zbawienie. Czekają, bo nie mają sił się ruszyć – fizycznych, ale i duchowych; Godot nie przychodzi, więc nikt ich nie wyrwie z tego stanu. Czy to jest dzielność? A czy dzielny jest bezdomny spod Biedronki?

Można interpretować tak, ale można inaczej. Przesłanie Becketta jest nieoczywiste, bardziej oczywisty język, jakim je wyrażono: impresjonizm, pajęcza nić detali psychiki Vladimira i Estragona, ukazywana nam po kawałku, po kawałeczku, w powolnym tempie jak z pozbawionej wielkich motywów przewodnich muzyki Debussy’ego. Ale nić ta jest widoczna, bo pająk przędzie ją – na białej ścianie nudy. I to, być może, jest druga przyczyna letniego odbioru tego spektaklu.

Może byłem niesprawiedliwy wobec Benoit i Radziwiłowicza? Może to nie w ich grze tkwi problem, a w epoce, która to przedstawienie ogląda. Widownia była młoda, ja też jestem jeszcze względnie młody (na pewno! Muszę być, skoro „młodym aktorem” jest starszy o ponad dekadę Kosiński!), a młode pokolenie, owszem, świetnie zna na ogół i samotność, i poczucie, że życie nie ma celu. Ale to zmęczenie, ta nuda, nie rozgrywają się – jak u Becketta – w pustce, w której porzucony kapelusz czy liście na drzewie urastają do rangi wielkich zmian, bo wszystko jest ciągle takie samo. Przeciwnie: tu areną samotności jest przebudzowanie. Samotność w tym dramacie to samotność literalna, w której cudem jest już sam fakt, że znalazł się drugi taki przegrany, z którym można się co dzień spotkać i na nowo czekać po nic. Samotność dzisiejsza to parę setek znajomości na Facebooku, z których i tak nic nie wynika, niezliczone SMS-y i telefony. Czas beckettowski to stojąca woda; czas nasz to szalony pęd, gdzie nuda i samotność biorą się z faktu, że świat gna, a my albo nie dajemy już rady biec razem z nim, albo tknęło nas w końcu, że po co komu ten bieg.

I dlatego nie miałem jakoś poczucia, że spektakl rezonuje z widownią: jak porusza, kiedy nie porusza? Recenzje są świetne, bo co tu krytykować. Po przedstawieniu ludzie pójdą do domu z poczuciem, że byli na udanej produkcji. Ale patrzyłem na reakcje, zerkałem na twarze, bo to było momentami ciekawsze niż nuda Vladimira i Estragona, która i mnie mocno się udzielała. Twarze mówiły na ogół to, co Chłopiec. Godot nie przyszedł, nie będzie zbawienia.

Fot. Marta Ankiersztejn

Komentarze